

Wywiad w restauracji, czyli mała katastrofa — bruliben

Od autora: Wrzuciłem niniejszy utwór jako przerywnik przed dalszymi odcinkami fragmentowiska. Wywiad traktuje o mięsiwach wołowych, których kiedyś byłem wielkim smakoszem (obecnie mięsa nie jadam). Ojczyzny najlepszych, jak głoszą eksperci to m.in. Brazylia, Argentyna (kraje sąsiedzkie), Nowa Zelandia i... Japonia. W Brazylii dominują naturalne pasze w postaci olbrzymich pastwisk. Są tego minusy, ponieważ niezliczone sztuki bydła produkują olbrzymie ilości złych emisji. Jednak ta kwestia jest odrębna i nie została poruszona w utworze.

Picanha (port.) - stek krzyżowy; Fraldinha (port.) - zwyczajna łata; Maminha (port.) - (tbc - do rozstrzygnięcia w późniejszym czasie?)

Usiadłem twardo nad talerzem z polentą, powszechnie znaną pod nazwą kaszki kukurydzianej (zainteresowanych odsyłam do bogatych źródeł internetowych) rzucając ukradkowe spojrzenia w kierunku *Picanhii*. Salę opuszczała frędzlowata *Fraldinha*, obco brzmiąca nazwa grillowanego mięsiwa odpowiadająca pospolitej łacie wołowej. Za chwilę mieli przynieść inny frykas, podpieczoną na lekki brąz *Maminhę*.

Picanha jął szybko wertować pamięć w pogoni za odpowiednikiem w naszym jego ojczystym języku (szczęśliwie dla czytających w żyłach *Picanhii* płynęła polska krew po dziadku obieżyświecie). „W angielskiej nomenklaturze byłaby to chyba część zadnio-tylna (*bottom round?*) byka”. Nie odnajdując właściwego słowa westchnął niecierpliwie i przyjął postawę wyczekującą.

Jako odosobniony znawca nie liczyłem na zbyt duże poruszenie wśród konsumujących na widok wjeżdżającej na talerze *Picanhii*. Byłem pewny, że nikt poza mną nie przywiązywał większej wagi do tego wydarzenia stanowiącego bezsprzecznie gwóźdź wieczornego programu w świecie kulinariów. Nie wiele myśląc kilkoma susami pokonałem przestrzeń dzielącą okrągłe stoliki. Dopadając piersią drewnianej krawędzi natychmiast schwyciłem dłonią najbliższy widelec, co nie uszło uwadze bystrych oczu *Picanhii*, wędrujących niestrudzenie po zatłoczonej sali restauracyjnej.

-Dziennikarz, hę? - zapytał gwałtownie.

-Taaak, a skąd pan wiedział? Co mnie zdradziło?

-Polenta - odparł. - I zdjęcie pańskiego profilu w gazecie, w rubryce kuchni świata. Zgadłem nie? Zwykły, przeciętny zjadacz chleba nie wybrałby polenty. Doskonale pasuje do grillowanej wołowiny. Idąc dalej tym samym tropem zgaduję, że pańska domena to kuchnia brazylijska? Tak, czy nie?

Pomyślałem, że facet jest za bystry, co mogłoby zepsuć mój wywiad.

-Absolutnie... to znaczy... Jeszcze jeden strzał w dziesiątkę. Jak pan widzi mam słabość do egzotycznych dań i... mięs.

-Panie, czuję to niemal podskórną. Dostrzegam wielką ochotę w pana oczach, żeby wbić we mnie zęby aż do samej krwi, kiedy tylko nadarzy się okazja. *Picanha* znowu mnie wyprzedził, a z jego twarzy nie schodził szeroki uśmiech. Wiedziałem, że był wyjątkowo błyskotliwy, ale żeby aż tak? Wymienialiśmy opinie i poglądy

z prędkością światła w zagęszczonym powietrzu, wzbogaconym zapachami stawianych na stole potraw. Wywiad można było włożyć między bajki. Walczyliśmy na długie i ciężkie widelce.

-Irytuje mnie pana rekwizyt. Do kroćset, co to jest!?

-Gęsie pióro - odpowiedziałem z godnością.

-Nie przeszkadza panu, nie zawadza?

-To nie szabla paradna, taki drobiażdżek. Nie rozstaję się z nim. Noszę przy pasie pokrowiec z kałamarzem.

-Fiu, fiu, to ci wynalazek.

-A jakże. Pozwala pisać bez przerw w stylu sprawozdawczym. Wychodzę z założenia, że trzeba nieprzerwanie rejestrować zapachy i smaki. O, widzi pan? Dłoń prawem rutyny mknie sama po kartce, a to już taki wytrenowany odruch.

-Nie lepiej przy biurku w świetle lampy nocnej? Píše pan po obrusie.

-To bez znaczenia. Zakupię go od restauratora i zabiorę do domu.

-Powinien pan być uzbrojony w pojemną pamięć, może dyktafon?

-O tak, i co jeszcze? Wydałbym fortunę na taki gadżet!

W ramach rewanzu dotknąłem końcem pióra jego skóry na szyi.

-Co, skórka mi szerniała? - zapytał z niepokojem.

-Tylko troszkę, nieznacznie.

-Niech pan poczeka, zaraz wrócę!

Ruszył w stronę kuchni na zapleczu restauracji. Biały obrus był już zapisany do połowy po mojej prawej stronie. Rzędy liter, całych zdań sunęły dziwnym trafem do góry w nieuporządkowanych zrywach. Odsunąłem puste talerze, talerzyki, sztucce, przystawki, przyprawy, oliwę i tabasco na skraj stołu, uważając by nie pospadały na podłogę. Kieliszki i szklanki też odsunąłem, cały ten zestaw dupereli. Przyszybował do nozdrzy nęcący zapach mięsa. Zacząłem marzyć, ale też oddalać wewnętrznie od tego przyjaznego miejsca, rozgardiaszu, brazylijskiej cizby. Kelnerów, słów krzyżujących tępe ostrza. Moja dłoń prawa nie była już moją. Opersonalizowana traciła tożsamość, a lewa nurkowała pod stołem wchodząc pomiędzy nogi co atrakcyjniejszym paniom, nie odpuszczając nawet starszym okazom, bardziej zadbanym i dystyngowanym. Wszystko to, co na stole i wokół było jedynie zamiast. Zbiór przedmiotów zestawionych nieprzypadkowo, upozowanych z dużą gracją, dźwięki i ukłony - zamiast, czego? Zbyt krzykliwa radość dziecka obok, na szczęście cudzego, też zamiast. A co będzie w zamian, jeśli zamiast nie wystarczy?

-Tato krew piję, patrz! Z głębokiego talerza zniknęła sporych rozmiarów czerwona kałuża. Został tylko czerwony osad na dnie i ślad, szeroki pasek nad górną wargą chłopca.

-Błagam, oszczędź mi życie szlachetny wojowniku. Ojciec, ofiara małego dzikusy spijającego krew z białej zastawy złożył razem dłonie w błagalnym, teatralnym geście.

Za moment kelner szybciej od wiatru wymieni talerze i nowe sztucce zabłysną zamiast tamtych, i wymienią na inne wcześniejsze słowa. Mimo bliskości ciał wokół, ciepła ud, wyrazistości języków, zwłaszcza po stronie lewej, strona prawa doznawała dziwnego rozdwojenia, ba, rozczworzenia jaźni. Nieprzyjemnego w skutkach, ponieważ powodującego druzgocący wpływ resztek rozsądku z duszy smakosza-sprawozdawcy. Byłem w tej sekundzie na skraju cywilizacyjnego koła. Daleko, tysiące lat świetlnych poza obrysem radosnej, rozświetlonej blaskiem lamp, wciągającej i sugestywnej galaktyki. Będąc dzien-nikarzem-paparazzim czyhającym na wyjątkowo smaczne

i przystojne kąski wliczałem niejako w ryzyko zawodowe występowanie nieprzyjemnych skutków ubocznych. Jednakże, podobnie jak większość obecnych na sali nastawiłem psyche na wywołujące dreszczyki rozkoszy subtelne i wyrafinowane doznania (nie tylko kulinarne). Od dzieciństwa czytałem o nich z wypiekami na twarzy

w opasłych, ciągnących się przez złote wieki i nadgryzionych zębem czasu książkach (czy to nie były dokładnie tomiska Proust'a?).

No właśnie. Wyłowiony z chaosu pan *Picanha* ponownie zasiadł przy stole i to po mojej prawej ręce, boleśnie rozdwojonej, nie, rozcworzonej. Miał minę zadowolonego z siebie. Skóra na szyi błyszczała świeżo nabytą, tryskającą tłuszczem opalenizną.

-Wpadłem po drodze na kilku znajomych hodowców bydła.

-Taaak, co was łączy?

Picanha wyprostował się w krześle.

-Wszystko i nic. Głupie pytanie.

-A konkretnie?

-Trzeba koniecznie napisać książkę o pewnym Polaku, synie potentata w branży z Południa. Jego dziadek przybył tu z Polski. Znam jego przodków osobiście i jego samego w rzeczy samej również. Mogę pana przedstawić.

- Czy to ma być coś obszernego?

- O tak, barrrdo długie!

- Saga?

- Saga - odparł.

Picanha uśmiechnął się do małego krwio pijcy z sąsiedniego stolika. Po kilku minutach podejrzanego milczenia powrócił jednak do zawieszonego wątku.

-Idzie o to, że ktoś musi to napisać. Samo przecież nie powstanie. Pomyślałem w związku z tym o panu. Zaskoczony siedziałem kilka chwil bez słowa. *Picanha*, mistrz słownego refleksu odezwał się pierwszy.

- Niech się pan zastanowi zanim coś odpowie albo napisze na tym białym obrusie. Ma pan strasznie dziecinny

i niewyraźny styl pisma.

- Właśnie chciałem powiedzieć, jedną rzecz, że... ten chłopiec, co spija byczą krew z talerzy ten wredny dzikus, obrzydliwy złośnik i... przypomina mi siebie.

- Niech pan lepiej nic nie mówi, dobrze? Proszę panować nad sobą. Trzeba szukać szerokiego konsensusu, a pan chce od razu wywrócić stół z zakąskami.

Kiedy osiągam wysoki poziom rozdrażnienia bez wyraźnej przyczyny, a moje reakcje zaczynają być przesadne przydałby się wtedy ten trzeci gość, pośrednik i słuchacz. Po jego minie wiedziałbym, czy nie przekraczam niedozwolonych granic. Najlepiej by był niemy, w trybie rejestrującym, taka samoczynna kamera z górnej półki. Spersonalizowane urządzenie do pomiaru satysfakcji i wykrywania niezadowolenia. Związane ze mną tajemniczą umową, cyrografem i niewyczerpanym okresem gwarancyjnym. Milczące uparcie na mój temat, nie puszczające pary z ust w obecności osób postronnych. Lojalne, aż do bólu. Zapisujące obraz i treść ściśle dla celów prywatnych, późniejszej analizy rozwoju niebezpiecznej psychozy.

Po ostatnich słowach *Picanha* wstał bez pośpiechu i dostojnym krokiem podążył w stronę kuchni. Docierały stamtąd przez jakiś czas, na szczęście niezbyt długi podekscytowane głosy. Ich natężenie rosło, po czym z wolna opadało. Mrugały żarówki w oprawach pod sufitem. Skwierczał głośno tłuszcz i trzaskały kości. Czyjaś dłoń uchyliła wahadłowe drzwi i ciekawskie oko zajrzało do środka. Coś na kształt forpocztu wypełzło powoli i bez zapowiedzi z wnętrza kuchni. Za nią chmara kelnerów i pomagierów wniosła metalowe tace o różnych rozmiarach, na których spoczywały na pierwszy rzut oka wielce obiecujące kawałki mięsniwa.

W rzeczywistości podkomendni w białych kitlach roznieśli składowe pana *Picanhii* do wszystkich kątów dobrze oświetlonej sali. Upieczonego, smolistego, kruszejącego w małych kałużach krwi i tłuszczu. Nabitego na smukłe szpady, rozpalone do czerwoności w intensywnym ogniu. Żył nabrzmiałe do wielkości

powrozów wyglądały jak sinoniebieskie rzeki. To był ten moment, na który czekałem. Moment osobistego triumfu Pana *Picanhii*, wielkiego i ostatecznego zwycięstwa ducha nad ciałem. Bez namysłu napisałem pierwsze zdanie recenzji: „Zapach krwi i spalonej skóry, ociekającego tłuszczu, choć kuszący drażnił nieprzyjemnie nozdrza”.

- Co to za niedorzeczności! Niech pan pisze wyraźniej i z większą rozwagą. Nie chcemy odstraszyć potencjalnych konsumentów! Słowa należące bez wątpienia do *Picanhii* z wielokrotnione echem rozniosły się na wszystkie strony. Mimowolnie podniosłem dłoń, jakbym chciał zatrzymać jego ofensywę.
- Zaraz będę miał Pana w swojej gębie, między zębami. O tam są wykałaczk. Panie kelner proszę podać, nie zwlekajmy. Hmmm niezłe. Można prosić o więcej?

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

bruliben, dodano 17.10.2019 15:07

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.